

ANNHEM

STEFAN

DZIEWIĄTY

GRÓB

Szybka akcja, niesamowita zagadka kryminalna. Prawdziwy pożeracz stron! W trakcie lektury miałam wrażenie, że oglądam film. Mroczny, trzymający w napięciu thriller.

KATARZYNA BONDA

MARGINESY



A STEFAN **INHEM**

DZIEWIĄTY

GRÓB

Przełożyła
EWA WOJCIECHOWSKA

MARGINESY

Prolog

14 czerwca 1998 – 8 listopada 1999

Było tak ciemno, że ledwo cokolwiek dostrzegał. Na dodatek ciężarówka, którą wieziono go razem z innymi jeńcami, kołysała się mocno, przedzierając się przez trudno dostępny teren. Dlatego stawiane przez niego z mozołem litery były prawie nieczytelne. Nie mógł nic na to poradzić. Miał ostatnią szansę, by wszystko spisać, zanim rosnąca pod jego ciałem kałuża krwi stanie się jeszcze większa. Pisał o zakochaniu, przez które rzucił wszystko, co znał, i podążył w nieznaną. O tym, jak został postrzelony i wzięty do niewoli przez własnych ludzi, i obecnie jest w drodze na pewną śmierć.

Miał przy sobie długopis, od kiedy opuścił izraelski obóz wojskowy przy blokadzie drogi w punkcie kontrolnym Hawara i udał się na niekontrolowane tereny Zachodniego Brzegu. Zdobył papier, wrywając parę pustych kartek z pamiętnika znalezionej w plecaku Tamira. Była tam nawet zużyta koperta, którą udało mu się wyrzucić na drugą stronę. Kiedy skończył, złożył list zakrwawionymi palcami, wsunął go do koperty i zalepił najmocniej, jak zdołał.

Nie miał ani znaczka, ani adresu odbiorcy. Znał tylko imię i nazwisko. Mimo to nie zawahał się ani na chwilę, wcisnął list w ciasną szparę w tylnych drzwiach ciężarówki i puścił go. „Jeśli Bóg zechce, pozwoli mu dotrzeć” – pomyślał, poddając się wreszcie zmęczeniu.

Koperta nie zdążyła nawet opaść na ziemię. Silny podmuch wiatru poderwał ją i unióśł wysoko, ku bezgwiezdnemu niebu nad górami Ebal i Garizim, przez które właśnie przetaczała się kolejna nawałnica. Odstępy czasu między przeszywającymi ciemnością błyskawicami a pomrukami grzmotów stawały się coraz krótsze. Deszcz wisiał w powietrzu i zdawało się, że lada moment ulewa zamieni wyschniętą glebę w błotnistą maź i ciśnie kopertę na ziemię.

Jednak deszcz nie nadszedł, a poplamiona krwią koperta z od ręcznie napisanym listem kontynuowała swój lot coraz wyżej i wyżej, przebyła góry, a potem wiatr poniósł ją dalej, za granicę z Jordanią.

Den nionde graven

COPYRIGHT © Stefan Ahnhem 2015

Published in agreement with Partners in Stories Stockholm AB

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Wojciechowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2016

Saladyn Hazajma leżał na macie i wpatrywał się w niebo. Światło poranka podjęło właśnie pierwszą próbę przebiccia się przez gęsty mrok. Silny wiatr, wiejący nocą, ucichł wreszcie i zdawało się, że wstanie piękny dzień.

Zupełnie jakby słońce postanowiło wysprzątać niebo do czysta z okazji jego siedemdziesiątych urodzin. Ale w tej chwili to nie pogoda zajmowała myśli Saladyna. Wprawdzie siedemdziesiąte urodziny były przyczyną dziesięciodniowej wędrówki, ale teraz skupił się na czymś całkiem innym.

W pierwszej chwili pomyślał, że to samolot lecący tysiące kilometrów nad ziemią. Potem doszedł do wniosku, że to ptak z uszkodzonym skrzydłem. Teraz nie wiedział już wcale, co to za przedmiot dryfuje w powietrzu, obniża się z wolna i połyskując raz po raz na białą, w końcu spada jakieś pięćdziesiąt metrów od niego.

Saladyn Hazajma wstał, stwierdzając ze zdziwieniem, że dokuczający mu każdego ranka ból pleców zniknął jak ręką odjął. Pośpiesznie zwinął matę i włożył ją do plecaka. Czuł, że zaraz coś się wydarzy. Coś o wielkim znaczeniu. Przepelniała go energia.

Nie mogło to być nic innego niż znak z niebios. Objawienie od Boga, w którego wierzył, odkąd sięgał pamięcią, i który teraz mówi mu, że wędrowiec jest na dobrej drodze. Bóg, którego śladami podążał z okazji swoich siedemdziesiątych urodzin z Jerozolimy do Jeziora Galilejskiego.

Wczoraj odwiedził świętą jaskinię w pobliżu miasteczka Andżara. Chciał spędzić tam noc, jak Jezus z Maryją i apostołami, ale nakryli go strażnicy i był zmuszony spać pod gołym niebem. „Wszystko ma swoją przyczynę” – pomyślał i pośpieszył lekkim krokiem przez nierówny teren w stronę drzewa oliwnego, w którego gałęziach utkwiał znak od Boga.

Gdy dotarł na miejsce, stwierdził, że to koperta.

„Koperta?” – zdziwił się w myślach.

Nieważne, jak długo by się zastanawiał, nie potrafiłby znaleźć logicznego wyjaśnienia tego zjawiska. Uznał w końcu, że „niebo” wystarczy mu za odpowiedź. Być może miał rację, bo w głębi siebie usłyszał głos powtarzający mu w kółko jak mantrę, by zajął się tym

listem tak, jak życzył sobie jego nadawca. Że to właśnie znalezienie tego listu, nic innego, było prawdziwym celem jego wędrówki.

Po paru próbach wreszcie udało mu się wycelować kamieniem w kopertę i strącić ją na ziemię. Była brudna i poprzecierana, jakby wbrew wszelkim przeciwnościom przetrwała koniec świata. W dodatku była cięższa, niż się spodziewał.

W jednej chwili pozbył się wszystkich wątpliwości.

Został wybrany przez Boga.

To nie była zwyczajna koperta.

Obejrzał ją dokładnie z obu stron, szukając jakichś wskazówek, lecz znalazł tylko imię i nazwisko skreślone drobnym, rozstrzelonym pismem.

A i s z a S z a h i n

Saladyn Hazajma przysiadł na kamieniu i z trudem odczytał te dwa słowa na głos. Nie brzmiały znajomo. Po krótkim namyśle wyjął z kieszeni nóż i ostrożnie rozerwał kopertę. Nieświadomy nawet, że wstrzymuje oddech, rozłożył zgięte wpół kartki i spojrział na odręczne pismo składające się na długie rzędy słów.

List napisano po hebrajsku, tyle mógł orzec z całkowitą pewnością. Niczego więcej się nie dowiedział, bo ledwie czytał nawet po arabsku.

Cóż takiego Bóg próbował mu powiedzieć? Może chciał ukarać go za to, że nigdy nie nauczył się porządnie czytać? A może ten list wcale nie był przeznaczony dla niego? Czyżby miał jedynie odegrać rolę pośrednika, przekazać list kolejnej osobie? Przez chwilę na próżno walczył z ogarniającym go rozczarowaniem, wreszcie złożył kartki, wsunął je z powrotem do koperty i podjął wędrówkę do Adżlun. Tam niechętnie wrzucił list do skrzynki pocztowej.

Wielu ludzi zdecydowałoby bez wątplenia, że Chalid Szawabka postąpił niegodnie i niemoralnie. Ale on nie czuł, że robi coś złego, sięgając po list pozbawiony znaczka, nadawcy i adresu odbiorcy. Chalid był zdania, że listy nieodpowiednio oznakowane przez nadawców stawały się jego własnością. Wyznawał tę zasadę bez wy-

jątków od czterdziestu trzech lat, odkąd rozpoczął pracę w sortowni poczty.

Miał w domu kilka skrzynek, a w nich zagubione listy, uporządkowane według lat, i nic nie sprawiało mu takiej przyjemności, jak wyjmowanie któregoś na chybił trafił i poznawanie czyichś myśli przeznaczonych dla jeszcze kogoś innego. Jednak ta przesyłka była wyjątkowa.

Już jej stan świadczył o tym, że dotychczasowa podróż listu była niebezpieczną przygodą. W dodatku ktoś już otworzył kopertę, ale zostawił w środku list.

Do niego. Do nikogo innego.

Chalid Szawabka wszedł do domu i zamknął drzwi od środka na klucz dokładnie dziewięćdziesiąt osiem minut wcześniej niż zwykle. Aby zyskać trochę czasu, pominął przerwę na herbatę, choć tego dnia przyniósł z domu ciasteczka, a potem pokonał truchtem całą drogę z przystanku. Dostał solidnej zadyszki i czuł, że pot próbuje wydostać się przez zdecydowanie za ciasną poliestrową koszulę.

Obiad mógł poczekać. Chalid nalał do kieliszka wino chowane za książkami na półce, usiadł w fotelu, włączył starą lampę stojącą, wyjął z kieszeni kopertę i z bijącym sercem wyciągnął z kieszeni list.

– Nareszcie – szepnął pod nosem i sięgnął po kieliszek, szczęśliwie nieświadomy, że skrzep, który przez wiele lat tworzył się w lewej nodze, właśnie się poluzował i rozpoczął powolną wędrówkę do płuc.

Minął już rok, od kiedy stryj zmarł na zator płucny, ale Maria nie postawiła dotychczas stopy w jego domu. Jej dwaj bracia robili, co mogli, by podważyć testament i zmusić ją do zrzeczenia się spadku. Nawet ojciec próbował ją przekonać, że Chalid przez wiele lat żył samotnie i na starość postradał rozum, w dodatku kobiety nigdy przecież nie były i nie są stworzone do tego, by mieć coś na własność i zarządzać nieruchomościami.

Maria jednak nie dała za wygraną i teraz mogła wreszcie włożyć klucz do zamka i otworzyć drzwi. Walkę o swoje przypłaciła utratą kontaktów z braćmi i rodzicami, ale nie potrafiła nic na to poradzić.

Zamierzała wysprzątać dom i szybko go sprzedać, a po otrzymaniu pieniędzy rzucić posadę szwaczki, przenieść się do Ammanu i zacząć pracę w organizacji Jordanian National Commission for Women, walczącej o prawa kobiet w jej kraju.

To nie miało prawa się udać. Nic nie wskazywało na to, by list miał choćby cień szansy na dotarcie do adresata. Przeszkód było tak wiele, że prawdopodobieństwo dostarczenia go właściwej osobie równało się zeru.

Ale to się stało.

Rok, cztery miesiące i szesnaście dni po tym, jak nadawca przechnął list przez szparę w drzwiach ciężarówki, i po tym, jak kopertę przechwycił wiatr, trafił on do rąk Marii Szawabka, która po chwili zdołała skojarzyć go ze zniszczoną kopertą, na której widniało tylko imię i nazwisko jakiejś kobiety.

Maria przeczytała opisaną w nim wstrząsającą historię i trzy bezsenne noce później, po znalezieniu paru informacji w internecie, nakleiła znaczek, uzupełniła brakujący adres i wrzuciła list do najbliższej skrzynki pocztowej. Nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji.

Aisza Szahin

Selmedalsvägen 40, 7 p.

129 37 Hägersten

Szwecja

I

16–19 grudnia 2009

Wielu ludzi poczuje się wstrząśniętych moimi uczynkami. Niektórzy będą uważać, że to zemsta za dokonane niegodziwości. Inni dostrzegą w nich grę, której celem było sprawdzenie, jak daleko system pozwoli mi się posunąć. Jednak przytłaczająca większość dojdzie do wzruszająco jedno-myślnego wniosku, że uczynki te są dziełem skrajnie chorego człowieka.

Wszyscy oni będą się mylili...

Dwa dni wcześniej

Sofie Leander siedziała w poczekalni pracowni USG w szpitalu Södersjukhuset i przeglądała sfatygowany numer czasopisma „Roddzice”. Na każdej stronie uśmiechały się do niej szczęśliwe mamy i tatusiowie. O niczym nie marzyła bardziej niż o tym, by stać się właśnie taką szczęśliwą mamą. Ale po wszystkich nieudanych kuracjach lekiem pergotime zaczęła wątpić, czy kiedykolwiek uruchomi w sobie produkcję komórek jajowych.

To była jej ostatnia szansa. Jeśli się okaże, że lek nie zadziałał również tym razem, będzie musiała się poddać.

Zdawało się, że jej mąż zrobił to już jakiś czas temu. Ten sam mężczyzna, który kiedyś obiecywał, że stanie u jej boku zawsze, gdy będzie go potrzebowała. Odblokowała telefon i jeszcze raz przeczytała wiadomość od niego. „Coś mi wypadło. Nie zdążę”. Jakby chodziło o kupienie mleka po drodze do domu. Nie zdobył się nawet na głupie „powodzenia!”.

Miała nadzieję, że przeprowadzka do Szwecji trzy lata temu będzie dla nich nowym początkiem. Szczególnie po przyjęciu przez męża jej nazwiska. Widziała w tym wyraz wielkiej miłości. Dowód na to, że cokolwiek by się wydarzyło, pozostaną nierozłączni. Teraz nie była tego już taka pewna. Prawdę mówiąc, nie mogła wyzbyć się wrażenia, że coraz bardziej się od siebie oddalają. Próbowała z nim o tym porozmawiać, lecz mąż nie wykazywał dla tej sprawy zrozumienia i uparcie zapewniał Sofie o swojej miłości. Ale ona dostrzegła prawdę w jego spojrzeniu. A raczej w sposobie, w jaki wówczas unikał jej wzroku.

On, który kiedyś uratował jej życie, oznajmiał nagle, że „coś mu wypadło”, i nie chciał spojrzeć jej w oczy. Poczula nagłą chęć, by do niego zadzwonić i zażądać wyjaśnień. Postawić go pod ścianą pytaniem, czy przestał ją kochać, bo poznał kogoś innego. Nie znalazła w sobie odwagi. Zresztą była przekonana, że on i tak nie odpowie. Zawsze tak było, kiedy pracował, szczególnie w okresach takich jak teraz, gdy pochłaniał go nowy projekt. Nie, mogła mieć nadzieję tylko

na dobre wieści od lekarza. Jeśli je usłyszy, wszystko jakoś się ułoży. Nareszcie da mężowi upragnione dziecko, a on uświadomi sobie, jak bardzo ją kocha.

– Sofie Leander! – zawołał głos w głębi korytarza.

Poszła za położną do małego pokoju badań z zaciągniętymi żaluzjami, łóżkiem i sporej wielkości urządzeniem przypominającym komputer.

– Proszę powiesić płaszcz na wieszaku, o tutaj, i się położyć. Lekarz zaraz do pani przyjdzie – powiedziała położna.

Sofie kiwnęła głową, powiesiła okrycie i zaczęła zdejmować kozaki. Została sama. Położywszy się, rozpięła bluzkę i rozsunęła zamek w spodniach, jednocześnie postanawiając, że jednak zadzwoni do męża i zapyta go, cóż tak ważnego nie pozwoliło mu jej towarzyszyć. Sięgnęła do torebki, ale nie zdążyła wyjąć telefonu, bo w drzwiach stanął lekarz.

– Pani Sofie Leander? – zapytał.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Świetnie, zaraz zobaczymy... Proszę się położyć na boku, plecami do mnie.

Sofie wykonała polecenie. Usłyszała, że lekarz rozrywa jakieś plastikowe opakowanie. Miała niejasne przeczucie, że ta wizyta nie przebiega tak, jak powinna.

– Przyszłam przebadać jajniki... – powiedziała niepewnie.

– Oczywiście. Ale najpierw musimy załatwić jedną rzecz – odparł lekarz i zaczął badać palcami kręgosłup Sofie.

Nagle poczuła ukłucie w samym środku pleców.

– Ale moment, co pan robi? Dał mi pan jakiś zastrzyk? – Sofie odwróciła się szybko i zdążyła dostrzec, jak lekarz chowa coś do kieszeni spodni. – Proszę mi wyjaśnić, co...

– Spokojnie. To rutynowa procedura. Czy to są pani rzeczy? – Lekarz pokazał palcem na płaszcz i kozaki, a po chwili, nie czekając na odpowiedź, sięgnął po nie i położył na łóżku u stóp Sofie. – Nie chcemy przecież, żeby się zapodziały. Jak by to wyglądało?

To nie była pierwsza wizyta, podczas której Sofie miała być poddana badaniu ultrasonografem. Wiedziała więc, że to, co zrobił przed

momentem lekarz, bynajmniej nie było rutynową procedurą. Nie miała pojęcia, co to wszystko ma znaczyć. Była pewna jedynie tego, że nie ma ochoty w tym uczestniczyć. Zapragnęła jak najszybciej stąd wyjść. Uciec jak najdalej od tego lekarza i tego pomieszczenia. Jak najdalej od tego szpitala.

– Muszę już iść – oznajmiła, próbując wstać. – Słyszysz pan? – Ciało odmówiło jej posłuszeństwa. – Co się dzieje? Co pan mi zrobił?

Mężczyzna pochylił się nad nią, uśmiechnął się i pogładził ją po policzku.

– Wkrótce zrozumiesz.

Chciała zaprotestować, krzyknąć z całych sił, ale maska tlenowa, którą lekarz przycisnął jej nagle do twarzy, stłumiła jej głos. Zanim Sofie zdążyła się połapać, co się dzieje, mężczyzna zwolnił hamulec łóżka, wyprowadził je na korytarz i ruszył, pchając je w nieznanym kierunku.

Gdyby tylko Sofie mogła chwycić się czegoś, obojętne czego, podnieść się i stanąć na nogach, natychmiast zażądałaby wyjaśnień. Ale nie zdołała poruszyć dłonią. Mogła jedynie wpatrywać się w sufit, w przesuwaną nad jej głową świetlówkę.

Po chwili ujrzała jakieś twarze. Twarze przyszlých mam i tatusiów, lekarzy i pielęgniarek. Byli tak blisko, ale zarazem daleko. Jakieś drzwi. Potem winda i głosy ludzi, którzy jechali nią razem z Sofie. Wreszcie drzwi windy się zasunęły. A może otwarły?

Znów znalazła się sam na sam z lekarzem, który gwizdał pod nosem melodię odbijającą się echem od surowych ścian. Słyszała tylko te dźwięki i swój oddech, przypominający jej napady astmy z dzieciństwa. Chwile, gdy musiała przerwać zabawę i rozpaczliwie łapać powietrze. Czuła się wtedy zupełnie bezbronna. Teraz znów miała wrażenie, że jest mała i słaba, chciała zwinąć się w kłębek i płakać, ale nie mogła zrobić nawet tego.

Nagle świetlówka na betonowym suficie stanęła w miejscu. Lekarz przełożył Sofie na nosze, chwytając najpierw za nogi, potem za ramiona. „Wkrótce zrozumiesz, tak powiedział” – pomyślała. Jak mogła to zrozumieć? Myślała w kółko o chirurgu plastycznym z Malmö, który wstrzykiwał coś swoim pacjentkom, żeby nie mogły stawiać oporu, kiedy je gwałcił. Ale po co ktoś miałby ją gwałcić?

Wjechała tyłem do ciasnego pomieszczenia. Zorientowawszy się, że to wnętrze karetki, postanowiła zapamiętać wszystkie odgłosy. Po chwili zatrzasnęły się drzwi szoferki i zawarczał silnik. Karetka wyjechała na drogę, skręcając w Ringevägen, potem potoczyła się prosto Hornsgatan w kierunku Hornstull i przez prowadzący za miasto most Liljeholmsbron. Do tego momentu Sofie nie miała wątpliwości co do kierunku, ale kawałek dalej było już gorzej. Karetka wjechała na rondo i krążyła tam chwilę, kółko za kółkiem, aż Sofie całkiem straciła orientację.

Kiedy dwadzieścia minut później wóz nagle zahamował, mógł być równie dobrze w zupełnie nieznanym miejscu, jak i z powrotem w szpitalu. Sofie usłyszała, że otwierają się drzwi do jakiegoś garażu, karetka podjechała jeszcze ze trzydzieści metrów i się zatrzymała. Zgasł silnik.

Potem drzwi się otworzyły, wysunięto nosze i powieszono je korytarzem. Na suficie znów pojawił się przerywany sznur świetlówek. Nosze jechały coraz szybciej, a kroki lekarza dudniły echem odbitym od ścian. Nagle się zatrzymali. Zabrzęczały klucze, coś piknęło i włączyło się jakieś urządzenie.

Wjechali do ciemnego pokoju, miała wrażenie, że zasunęła się za nią metalowa brama. Nagle pod sufitem rozbłysła silna lampa, świecąca wprost na podłużny stół. Sofie nie mogła dostrzec żadnych okien ani zorientować się, jak duże jest pomieszczenie. Widziała jedynie stół otoczony jakąś aparaturą. Podjechali bliżej i ujrzała, że stół jest owinięty przezroczystym plastikiem, są na nim pasy i dziesięciocentymetrowy otwór trochę na prawo od środka. Obok stał stolik nakryty białym materiałem, na którym leżały równo narzędzia chirurgiczne.

Dopiero teraz Sofie zdała sobie sprawę, co się z nią dzieje.

Zrozumiała wszystko na widok skalpeli, obcęgow i nożyczek.

Wiedziała już, dlaczego została porwana.

I co ją czeka.

2

Fabian Risk ponownie przeczytał wiadomość, zanim podniósł wzrok znad komórki i napotkał zdziwione spojrzenie wychowawczyni.

– Przykro mi, ale musimy sobie poradzić bez niej – powiedział.

– Aha. Rozumiem... – odparła nauczycielka, nie kryjąc, co o tym myśli.

– Co? Mama nie przyjdzie? – Mina Matyldy wyraźnie mówiła, że dziewczynka wolałaby zeskoczyć z mostu Västerbron, niż uczestniczyć w spotkaniu z wychowawczynią bez Sonji.

Fabian ją rozumiał. Ostatnimi czasy to on najczęściej nie przychodził na te spotkania i choć jego córka była już w trzeciej klasie, nie potrafił sobie przypomnieć, jak nazywa się jej wychowawczyni.

– Matysiu, mama musi dłużej popracować – wyjaśnił. – Wiesz, jak to jest, kiedy przygotowuje się do wystawy.

– Ale przecież powiedziała, że przyjdzie.

– Wiem. I zapewniam cię, że jestem tak samo zawiedziony, jak ty. Ale i tak wiem, że świetnie sobie poradzimy. – Poklepał córeczkę po głowie i spojrzał na nauczycielkę w nadziei na wsparcie.

Kobieta uśmiechnęła się obojętnie, jak podczas partii pokera.

– No przestań... – Matylda odepchnęła jego dłoń i poprawiła różowe spinki przytrzymujące w pożądanym miejscu pasma ciemnych, sięgających ramion włosów.

– Dobrze więc... – zaczęła wychowawczyni. – Jeśli chodzi o motywację Matyldy do nauki i umiejętność skupienia się na lekcjach, zebrałam od innych nauczycieli same dobre opinie – oznajmiła i przewróciła stronę w notatniku. – Na lekcjach szwedzkiego i matematyki jest jedną z najlepszych w... – Zamilkła i spojrzała na leżącą na stole komórkę Fabiana, która zaczęła wibrować.

– Przepraszam – Fabian odwrócił telefon wyświetlaczem do dołu, ale zdążył na niego zerknąć i stwierdzić z zaskoczeniem, że dzwoni Herman Edelman.

Edelman był jego szefem od wielu lat, odkąd Fabian zaczął pracę w wydziale kryminalnym sztokholmskiej policji, i mimo że miał już

koło sześćdziesiątki, nie zwalniał obrotów i wciąż z tą samą zajądłością dociekał prawdy w kolejnych dochodzeniach. Fabian dobrze wiedział, że gdyby nie Edelman, nigdy nie zostałby dobrym dochodzeniowcem.

Ale akurat tego dnia nikt nie widział Edelmana w komendzie od lunchu, na popołudniowej zmianie żaden z kolegów Fabiana nie rozmawiał z przełożonym nawet przez telefon i wszyscy w wydziale zaczęli się już zastanawiać, czy aby coś się nie stało.

A teraz Edelman dzwonił do niego. Po godzinach pracy. To znaczyło tylko jedno.

Wydarzyło się coś poważnego.

Coś, co nie może zaczekać.

Fabian sięgnął po telefon i już miał odebrać, ale wychowawczynie chrząknęła wymownie.

– Nie możemy tu siedzieć w nieskończoność. Nie jest pan jedynym rodzicem, z którym na dziś się umówiłam.

– Przepraszam – powtórzył, odrzucając połączenie. – Na czym skończyliśmy?

– Rozmawiamy o Matyldzie. Pana córce. – Nauczycielka zdobyła się na uśmiech. – Jak wspomniałam, docierają do mnie same dobre opinie, ale... – Spojrzała Fabianowi w oczy. – Jeśli to możliwe, chciałabym zamienić z panem kilka słów na osobności.

– Ach... tak? No jasne, co nie, Matysiu?

– Ale o czym będziecie rozmawiać? – Dziewczynka zmarszczyła brwi.

– O sprawach dla dorosłych. – Fabian spojrzał na wychowawczynię, która przytaknęła z uśmiechem. – Zaczekaj na korytarzu, zaraz do ciebie przyjdę.

Matylda westchnęła głośno i ruszyła do drzwi, demonstracyjnie powłócząc nogami. Fabian odprowadził ją wzrokiem, ale nie mógł przestać się zastanawiać, czego chciał od niego Edelman.

– Sprawa wygląda tak – kontynuowała nauczycielka, kładąc na blacie splecione dłonie. – Dochodzą do mnie słuchy, że Matylda...

Znów zawibrował telefon Fabiana. Wychowawczynie już nie skrywała poirytowania.

– Proszę wybaczyć, ale ja naprawdę nie mam pojęcia, co się dzieje. – Fabian podniósł komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Tym razem dzwoniła Malin Rehnberg, która była w Kopenhadze na jakimś seminarium. Edelman musiał do niej zadzwonić, sądząc, że uda się jej szybciej dotrzeć do Fabiana. – Przepraszam, nie mam wyboru, muszę odebrać i...

– Dobrze, w takim razie skończymy na dziś – oznajmiła nauczycielka, zgarniając papiery na kupkę.

– Chwileczkę, czy nie możemy po prostu...

– W tej szkole wyznajemy zasadę zerowej tolerancji dla telefonów komórkowych podczas lekcji. Nie widzę powodu, żeby nie stosować jej również w przypadku rodziców. – Włożyła plik kartek do teczki. – Proszę odebrać, skoro to aż takie pilne. Ja pójde się spotkać z rodzicami, którzy interesują się swoimi dziećmi. Miłego wieczoru. – Kobieta podniosła się z krzesła.

– Ależ niech pani zaczeka, to wszystko nie tak. – Fabian też się poderwał, rejestrując kątem oka, że telefon zamilkł. Włączyła się automatyczna sekretarka. – Jeszcze raz panią przepraszam. To jasne, że przyszedłem tu w sprawie Matyldy.

Nauczycielka, której nazwiska nie potrafił sobie przypomnieć, posłała mu spojrzenie wyrażające coś na granicy pogardy.

– Dobrze – odparła po chwili, usiadła i wyjęła teczkę Matyldy. – Właściwie to nie są sprawy, w które zwykliśmy wtykać nos. Ale w przypadku państwa córki nasiliło się to w ogromnym stopniu i jeśli czegoś państwo z tym nie zrobicie, obawiam się, że Matylda wkrótce znacznie mieć problemy z nauką.

– Ale moment. O czym pani mówi? Co niby mamy zrobić?

Wychowawczynie położyła na stole rysunek.

– To jedna z ostatnich prac pana córki. Niech pan sam zobaczy.

Fabian rozpoznał siebie z kózką bródką, którą zgolił przed paroma tygodniami. Naprzeciwko niego stała Sonja z nożem kuchennym w wyciągniętej dłoni. Oboje mieli otwarte usta i czerwone twarze. Krzyczeli. Przypomniawszy sobie wieczór, kiedy zarzucał jej, że za dużo pracuje. Sonja wpadła we wściekłość i wypomniała mu jego zarwane przez pracę noce. Oskarżyła go, że myśli wyłącznie o sobie.

„Pomyśleć, że obiecaliśmy sobie nigdy nie kłócić się przy dzieciach” – stwierdził z zalem w myślach. Przypomniał sobie, że tamtego wieczoru nawet zagroził Sonji rozwodem.

– Nie wiem, co powiedzieć... – wybąkał pod nosem. – To... to jest...

– Tutaj mam jeszcze jeden – przerwała mu nauczycielka.

Fabian ujrzał wzorzystą tapetę w pokoju Matyldy. Tak samo jak w jej prawdziwym pokoju, w lewym dolnym rogu obrazka na poduszkach na łóżku siedziały w rzędzie pluszaki. Częściowo Fabian poczuł dumę, bo córka naprawdę ładnie rysowała, ale musiał stawić czoło temu, co znajdowało się w chmurkach z dialogami. Słowa kłótni dochodzącej zza ściany. Tym razem chodziło o seks. Fabian stwierdził ze smutkiem, że większość z nich była boleśnie prawdziwa.

Chciał zapaść się pod ziemię.

– Jest dla mnie jasne, że spora część z tego to wymysły albo wyolbrzymienia – mówiła dalej nauczycielka. – Ale domowe awantury stały się motywem przewodnim wszystkich rysunków Matyldy, pomyślałam więc, że powinniście państwo o tym wiedzieć. Gdybym to ja była rodzicem, na pewno bym sobie tego życzyła.

– Oczywiście – odparł Fabian, starając się ukryć telefon, który znów zawibrował mu w dłoni.

Wyszedłszy ze szkoły, Fabian spróbował zadzwonić do Edelmana, ale numer był zajęty.

– Spójrz, Matysiu, napadało jeszcze więcej śniegu. – Powiódł wzrokiem po szkolnym boisku pokrytym grubą warstwą białego puchu. – Ale super, co nie? Możecie jutro ulepić bałwana.

– Jutro pewnie będzie już chlapa – mruknęła dziewczynka i ruszyła w dół schodkami na chodnik.

– Matysiu, zaczekaj. – Fabian pośpieszył za nią. – Ty chyba nie myślisz na serio, że mama i ja chcemy się rozwieść?

– Czyli o tym rozmawialiście?

– Powiedz, naprawdę tak myślisz?

Matylda nie odpowiedziała, tylko pobiegła do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Fabian uniósł dłoń z pilotem i otworzył drzwi, żeby mogła wsiąść. Najchętniej poszedłby za nią i dotrzymał jej towarzystwa, ale nie wiedział, co jej powiedzieć. Przecież miała rację. Jeśli on i Sonja dalej będą się tak zachowywali, koniec nadejdzie szybciej, niż oboje sobie wyobrażają. A przecież obiecał Sonji, może nawet bardziej sobie samemu, że nie popełni błędów jego rodziców. Choćby nie wiadomo co. Choćby było im bardzo ciężko. Przecież nie liczyło się nic poza nimi, nic nigdy nie zdoła sprawić, by się poddał.

Teraz nie był już tego taki pewien.

Czuł się tak, jakby uszło mu powietrze ze wszystkich opon, a on jeździł dalej na samych felgach już od tak dawna, że lada chwila nieodwracalnie zniszczy koła. Westchnął ciężko, przystanął, sięgnął po komórkę i wybrał numer Malin Rehnberg.

– Fabian, co ty, u diabła, wyprawisz? Ratuje cię tylko to, że znajduję się w odległości sześciuset kilometrów od ciebie.

Uznał, że lepiej będzie się nie odzywać i poczekać, aż Malin się wygada.

– Herman uczeplił się mnie jak kleszcz, bo tobie się nie chce odebrać telefonu. Czy ja jestem jego sekretarką, czy co? Wiem, że wszyscy mają to gdzieś, ale tak się składa, że jestem w Kopenhadze na seminarium, które, o dziwo, okazało się całkiem ciekawe.

– Okej, ale dowiedziałaś się, o co...

– Ale łóżka mają tu okropnie niewygodne. Poza tym czuję się jak tłusta świnia.

– Rozumiem, ale...

– I powiem ci, że w dupie mam, że to jeszcze dwa miesiące, bo nie odpowiadam za siebie i chyba zrobię coś nielegalnego, jeśli nie uwolnię się wkrótce od tych gówniarzy. Halo? Fabian? Jesteś tam?

– Dowiedziałaś się, po co dzwonił?

– Nie, chociaż... sama już nie wiem. Najwyraźniej to coś ważnego. Ale wiesz co? Mam pomysł, jak temu zaradzić.

– Jaki?

– Następnym razem odbierz telefon!

Fabian usłyszał kliknięcie. Malin się rozłączyła. Nie mógł się z nią nie zgodzić. On też miał nadzieję, że jej cięża wkrótce dobiegnie koń-

ca. Po kilkunastu sekundach dostał wiadomość z przeprosinami. Malin obiecała, że znów będzie sobą, kiedy tylko skończy się ten „ciążowy koszmar”.

Fabian wsiadł do samochodu i zerknął w lusterko wsteczne na Matyldę.

– Co powiesz na to, żebyśmy wpadli po drodze do Ciao Ciao i kupili pizzę? – zapytał.

Dziewczynka wzruszyła ramionami, ale udało mu się dostrzec, że rozbłysły jej oczy, choć bardzo się starała niczego po sobie nie okazywać. Przekreślił kluczyk i ruszył prosto ulicą Maria Prästgatan. Spróbował ponownie dodzwonić się do Edelmana.

– Cześć, Herman. Dzwoniłeś do mnie.

– Pewnie powinienem podziękować Malin.

– Byłem na spotkaniu z wychowawczynią Matyldy i dopiero teraz zorientowałem się, że...

– Dobrze, już dobrze. Dzwoniłem, bo zostałem wezwany na dwudziestą do Säpo*. Chcę, żebyś mi towarzyszył.

– Dziś wieczorem? Wybaczone, ale jestem sam z dziećmi. I czy to naprawdę aż tak ważne, żebym ja musiał...

– Kto trzyma stery, ty czy ja?

– Nie to przecież miałem na...

– Posłuchaj. Persson i Päävinen właśnie wpadli na nowy trop w sprawie Adama Fischera, a Höglund i Carlén planują coś ważnego w sprawie Diega Arcasa. Jedynymi, którzy nie mają teraz niczego na warsztacie, jesteście ty i Rehnberg. I o ile się nie mylę, Rehnberg jest w Kopenhadze.

– No dobrze, ale możesz mi powiedzieć, co się stało?

– Mam nadzieję, że dowiemy się tego na spotkaniu. Widzimy się przed wejściem za pięć ósma. Na razie.

Fabian wyjął z ucha słuchawkę i skręcił w Nyrtorgsgatan. Bynajmniej nie po raz pierwszy miał mieć do czynienia ze służbami specjalnymi, ale nigdy wcześniej nie zaproszono go na tajne spotkanie

* Säkerhetspolisen, w skrócie Säpo – szwedzkie służby specjalne (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

po godzinach pracy. Świadczyło to jedynie o tym, że znajdował się bardzo nisko w hierarchii. Natomiast Herman Edelman bywał tam co chwilę i nie przepuszczał żadnej okazji, by podkreślić, że trzeba zawsze siedzieć plecami do ściany, chcąc wyjść cało z tych spotkań.

A teraz niespodziewanie zażyczył sobie towarzystwa Fabiana.

– To nie wchodzi w grę, przykro mi. Musisz sobie jakoś poradzić.

– Ale jak to? Niby jak mam sobie poradzić? – spytał Fabian, spoglądając na zaśnieżoną linię dachów za oknem. Usłyszał w słuchawce, jak Sonja zaciąga się rakotwórczym dymem i zaraz wypuszcza go z płuc jednym długim wydechem. Był to znak, że jest w kiepskim humorze.

– Skąd mam wiedzieć? Wymyśl coś. Nie mam teraz czasu, żeby z tobą rozmawiać.

– Zaczekaj – powiedział, dostrzegając w szybie odbicie Matyldy przysłuchującej się jego rozmowie. Sięgnął po pilota, włączył telewizor i pogłośnił dźwięk.

„Mija ósma doba od zniknięcia Adama Fischera. Policja nie wyklucza, że celebryta mógł zostać uprowadzony...”

– Sonju, ja nie mam tu nic do gadania. Wyjaśniłem ci, że Herman nie dał mi wyboru.

– A wydaje ci się, że ja mam jakiś wybór?

„Jest z nami w studiu profesor kryminologii Gerherd Ringe...”

– Mam tak po prostu rzucić pędzle i powiedzieć Ewie: „sorry, nie będzie żadnej wystawy”?

– Nie, skądże, ale...

– No właśnie.

– Kochanie, nie denerwuj się, proszę.

„Dlaczego policja zdecydowała się na upublicznienie informacji o możliwym uprowadzeniu? I dlaczego nie docierają do nas żadne informacje o żądaniu okupu?”

– Nie denerwuję się – odparła Sonja i ponownie zaciągnęła się dymem, nawet nie starając się tego ukryć. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego nagle mamy taki straszny problem tylko dlatego, że po raz pierwszy to ja muszę zostać dłużej w pracy.

– W porządku. Jakoś sobie poradzę. Ale czy możesz mi powiedzieć choć w przybliżeniu, o której wrócisz?

– Kiedy skończę. Nie pytaj mnie, proszę, kiedy to będzie, bo sama nie mam pojęcia. Wiem tylko to, że z każdą chwilą coraz bardziej nienawidzę tych obrazów. – Znow się zaciągnęła i zrobiła długi wydech. – Przepraszam cię... po prostu... ostatnio mam wszystkiego tak dosyć, że chce mi się rzygać.

– Kochanie, wszystko się ułoży. Przecież tak jest przed każdą wystawą. A potem nagle przychodzi moment, kiedy uznajesz, że jest lepiej, niż sądziłaś, i reszta idzie jak z płatka.

– Zobaczymy, jak będzie tym razem.

– Jakoś sobie poradzę, nie myśl już o tym.

– Dobrze.

– Kocham cię.

– Na razie.

Fabian usiadł przy stole kuchennym obok Matyldy i wyjął z kartonu kawałek pizzy.

– I jak ta twoja bananowa?

– Może być. Wiesz co?

– Co takiego?

– Czy mama odpowiedziała, że też cię kocha?

Spojrzał jej w oczy i zastanowił się, co odpowiedzieć.

– Nie, nie zrobiła tego.

– To pewnie przez ten stres.

Fabian kiwnął głową i ugryzł spory kawałek pizzy, która już dawno wystygła.

Szwedzki minister sprawiedliwości po zażartej debacie chyłkiem opuszcza dom poselski. Chce umknąć dziennikarzom – nie dociera jednak do samochodu. Zapada się pod ziemię. Fabian Risk ma w tajemnicy zbadać tę sprawę. Oficjalnie śledztwo prowadzą służby specjalne, ale szybko wszyscy trafiają w ślepy zaułek.

W tym czasie w Danii zostaje brutalnie zamordowana żona pewnego celebryty. Dunja Hougaard z kopenhaskiej policji rozpoczyna śledztwo, które niebawem zawiedzie ją do Szwecji.

Jest tydzień przed Bożym Narodzeniem. Zima tapie Sztokholm i Kopenhagę w silnym uścisku. Szykują się jednak ponure święta.

Fabian i Dunja – niezależnie od siebie – odkrywają spisek, który okazuje się czymś o wiele gorszym, niż potrafiliby sobie wyobrazić. Natrafiają na ludzi, którzy zrobią wszystko, by zatuszować skandal.

Wielowątkowy thriller, który odpowiada na pytanie, dlaczego Fabian Risk musiał opuścić Sztokholm i przeprowadzić się do rodzinnego Helsingborga.

Scenarzysta serialu o Kurcie Wallanderze w najlepszej formie!



cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

www.portal-kryminalny.pl



POCISK
MAGAZYN LITERACKO-KRYMINALNY



BOOKLIPS.PL IIII